CZTERY DRZEWA.

(OPOWIEŚĆ LUDOWA).

przez **W. z Kleczkowskich Nerlich.**

I.

Litwin Kudras w puszczy żył szczęśliwie
Jego stada pasły się na łące,
Bujne żyto wzrastało na niwie
Ogród róże zdobiły kwitnące.

Stare dęby rosły w koło chaty,
Ule stały na gałęziach wzniosłych,
I trzy córki piękne jak róż kwiaty,
A dwóch synów jak dęby miał wzro-
[słych.

Raz wieczorem, w czas Pergrubji [1]) święta,
Przetańczywszy na łące dzień cały,
Do jeziora pobiegły dziewczęta
I wesoło razem się kąpały.



Jedne tańczą w wodzie jak ondyny,
Inne kwieciem zdobią włos i szyje,
Te, rączkami biją wód wierzch siny,
Który pryska na lic ich lilije.

I okrywa jak z pereł zasłona
Tych prześlicznych córek lasu ciała;
Lecz już słońca złoty promień kona,
I wieczorna zorza zajaśniała.

[1]) Pergrubja, bogini kwiatów. Święto jéj obchodzili poganie w maju.

Więc dziewczęta z wody wyleciały,
Białe szaty co prędzéj oblekły,
(Bo drzew szczyty burzą zaszumiały),
I do domu co żywo uciekły.

Jedna tylko nad jeziorem stoi,
Jak Pergrubji posąg biały naga,
I do domu powracać się boi,
A o pomoc bóstwa wodne błaga.

Bo odzienie jéj znikło z wybrzeża,
Gdzie koszulka? gdzie biała mergina? [2])
Szuka, oczom własnym niedowierza,
Więc rozpacza i płacze dziewczyna.

Groźny Perkun ciska piorunami,
Drży dziewczyna zlękła na pół żywa,
Wre jezioro miotane falami,
A z wód głębi straszny wąż wypływa

[2]) Mergina, rodzaj płaszcza noszony nakształt sukni dawnych greczynek, spinanéj na prawem ramieniu.

I tak rzecze: „O córo Kudrasa,
W wód zwierciedle, twe lica jak kwiaty
I twa cudna promienista krasa;
Nie płacz Egle, oddam ci twe szaty.
Przysiąż tylko, że mi będziesz żoną"
Egle słucha, trwoży ją huk gromu,
Więc przysięga z twarzą przerażoną,
I odziana ucieka do domu.
Tam przy ogniu świętym stoi blada,
Choć już północ, czarów trwożna pora,
I rodzicom drżąca opowiada,
Co rzekł straszny Žaltis, bóg jeziora.
Kudrasowie słuchają zdziwieni,
Groźna burza w okna sino błyska;
A w tem, łoskot i szum słychać w sieni,
I łódź pełna wężów w drzwi się wciska.
Wąż największy, do Kudrasa rzecze:
„Witaj starcze, my Žaltisa swaty,
Córkę twoję oddaj nam człowiecze,
Lub wraz zginiesz!" Kudras wyszedł [z chaty
I o radę żony swojéj prosi?
Kudrasowa podumała chwilę,
I wraz białą gęś wężom przynosi
I oddaje, żegnając ich mile.
Lecz nazajutrz o téj saméj porze
Znów straszliwe swaty powracają;
Woda gniewnie wre kipi w jeziorze;
Białą owcę rodzice im dają.
Na dzień trzeci, strasząc bóstwa gniewem,
Przybywają węże rozzłoszczone;
Grożąc strasznym jeziora zalewem,
Gdy ich panu zatrzymają żonę.
Płaczą wszyscy; Egle wchodzi blada,
Prędko żegna kochaną rodzinę,
I do łodzi w pośród wężów siada,
Dążąc na śmierć w podwodną krainę.

II.

Łódź jak strzała na obłoku leci
Nieszczęśliwa ofiara drży cała,
Nad jeziorem blado księżyc świeci
Wąż z wód wyszedł, a Egle zemdlała.
Ale wkrótce gdy przyszła do siebie,
Widzi w koło ściany kryształowe,
Pyszny pałac, ogrody jak w niebie,
Strop z bursztynu i kwiaty perłowe.
Tysiąc świateł w głębi konch się pali,
Piękne Dugny głębin wód mieszkanki
Sadzą Eglę na tronie z korali,
Tańcząc—strojne w lilji wodnych wianki.
Dziwne kwiaty najmilszą woń zieją,
Grają drzewa z listkami złotemi,
Wodne trzciny cudny koncert pieją;
Kudrasówna wzrok spuszcza ku ziemi,
Bo oznajmia Dugna przyjście męża!
Spojrzy Egle wpół umarła—drżąca,
Ale— zamiast potwornego węża
Piękny jakby Sotwaros, bóg słońca,
Klęczy przed nią jasnowłosy młodzian,
W czarnem oku tysiąc gwiazd mu pło- [nie,
W płaszcz książęcy z dziwnym wdzię- [kiem odzian,
Wieczną miłość ślubuje swéj żonie.
Mówiąc do niéj, że zaczarowany
Syn półboga, księcia téj krainy,
W formie węża na świecie widziany,
Wraca człekiem w jeziora głębiny.
Odtąd Egle w szczęściu i miłości
Żyła mile pośród czarów świata,
Zapomniała o całéj przeszłości,
Jedną chwilą zbiegły całe lata.
Raz jednakże rodziców przyśniła,
Zapragnęła iść na świat w gościnę;
Więc Žaltisa usilnie prosiła,
By pozwolił odwiedzić rodzinę.
Opór męża prośby zwyciężyły,
Jak postąpić ma wracając— radził;
Smutny, bo mu wróżby źle mówiły
Żonę z dziećmi na brzeg odprowadził.

III.

Szczęściem Egli cieszy się rodzina;
Lecz jéj bracia coś z sobą radzili,
Potem wzięli jéj starszego syna
I do lasu z sobą wprowadzili.
Tam pytali o formę zaklęcia
Którem Egle ma wywołać męża?
Lecz stałości mężnego chłopięcia
Prośba, bicie ni dar nie zwycięża.
Drugi chłopczyk równie był cierpliwy,
Lecz córeczka, kiedy w las przybyła,
Gdy ujrzała rózgi i pokrzywy,
Słowa ojca stryjom powtórzyła.
Kudrasowie z kosami ostremi
Nad jeziora brzegiem długo stali,
I oczami patrząc ponuremi,
Coś w milczeniu głęboko dumali.
Wreszcie starszy zawołał: „Już pora!
O Žaltisie! choć zabrać kochaną!
Żywy— białym szumem wyjdź z jeziora,
Martwy— zjaw się z wody krwawą pianą!"
Po zaklęciu wraz na brzeg się toczą
Złote zwoje węża— z białéj fali;
Kudrasowie do niego przyskoczą,
I kosami w sztuki porąbali!...
Radzi bracia, że skończyli z wężem,
Sądzą, że im siostra pozostanie;
Ale Egle stęskniona za mężem,
Przyśpieszyła z rodziną rozstanie.
Nad jeziorem zaklęcie wyrzekła,
Ale po nad jasnych wód bałwany
Trysła piana świeżą krwią ociekła;
Znak— że pewno zginął mąż kochany!...
Drżąca Egle ręce w niebo wznosi,
Chce się rzucić w wód wzburzone wały,
I o pomoc wodne bóstwa prosi—
Które zaraz prośbę wysłuchały

Zamieniając Eglę z dziećmi w drzewa
Smutna wdowa jak wierzba płacząca,
Wiecznie tęskniąc listkami powiewa
Nad jeziorem, przy blasku miesiąca.

Przy niéj, dębu i jesionu trwałość
W które zmienił bóg wód Egli syny,
Charakteru ich oznacza stałość,
A zaś córka drży w listkach osiny.

ANNA Z SAPIEHÓW JABŁONOWSKA.

(Dokończenie).

Wachmistrz miał porządne w ogóle z ustawy obrywki i we wszystko się wdawał: do rzemieślników, kominiarzów, gnojarni. Pijanych brał do aresztu, i potem na trzy dni do taczek obracał. Każdy, kto w domu piekł chléb, robił to na jego korzyść, bo piec publiczny miejski był osobno umyślnie wystawiony.

Instytucji nowych wiele powstało. Była ustawa domu dla zmarłych, lektyki dla chorych, stajnia miejska. Każdy mieszczanin żeniący się, dziesięć wierzb po cztery łokcie wysokich, posadzić pewinien był na placach zowiących się młodziańskie. Toż samo ogrody owocowe rozrastały się w dobrach księżny systematycznie. Ze studzien woda miała być dwa razy do roku wylewaną, na początku maja i na końcu września; dziedziniec co rok miał być z zielska oczyszczony.

Były ustawy względem bruków, naprawy grobel i mostów. Były nagrody za piękną przędzę. Sposób licytacji oznaczony. Był zakaz chowania arszeniku.

Ciekawa jest rozprawa księżny o niedogodnościach cechów, które znosiła.

Ustawy dla żydów były oddzielne, i na nich kończy się tom siódmy.

Tom ósmy zajmuje się wsiami. I tu najprzód opis majątku gospodarzy rolnych, który składał się z 12 morgów pola, z 2 morgów sianożęci i 2 morgów ogrodu i placu siedzibnego. Każdy otrzymał list nadawczy od skarbu na lat 50. Sam dziedzic nie miał prawa nic odjąć z tego gruntu, chyba za ugodą z gospodarzem. Po pięćdziesięciu latach sto złotych zapłaci dziedzicowi gospodarz i znowu ma na lat 50 spokojne posiadanie. Oczynszowała więc księżna tak samo włościan jak gospodarzy miejskich. Przepisy co do dziedziczenia tych gruntów, prawie w niczem się nie różnią od przepisów dla mieszczan.

Majątek publiczny wsi składał śię z kassy publicznéj, z magazynu publicznego i z pasieki wiejskiéj. Instytucje dobroczynne lub użytku ogólnego były: dom miłosierdzia, stajnia wiejska, dom sądowy, dom dla umarłych, dom na konopi suszenie, porządek ogniowy, place młodziańskie. Urzędnicy publiczni wsi, ogrodnicy i kominiarze wiejscy, oraz białogłowy do babienia.

Powinności zaś do dworu takie były:

Dni sprzężajnych w tydzień 2, lub za każdy sprzężajny pieszych 2. Tłok do żniwa latem 4 razy po jednéj osobie. Czynszu pieniężnego złp. 5. Osypu owsa w strych mierzonego korca półtora, włókna konopnego wyczyszczonego łutów 12. Szarwarku na miesiąc dwa, jeden na potrzebę samych włościan. Stróżów i dziewek folwarcznych po sześcioro włóść ma utrzymywać. Flisy będą płatni ze skarbu, ale obowiązek dawać go z kolei. Były i różne drobne powinności. Robota dzienna pańszczyzniana była w ogóle czynszowa.

Władze we wsiach sprawowali wójci, ławnicy wiejscy i dziesiętnicy. Wójci i ławnicy, aby dobrzy, powinni w urzędzie całe życie spędzić, ale dziesiętnicy co rok odmieniać się muszą, żeby koléj wszystkich obeszła. Po Nowym Roku zmieniali się. Nagroda wójtów i ławników, że wolni od pańszczyzny tygodniowéj, od szarwarku i zwożenia do dworu drew sążniowych, ale mieli płacić czynsz, dawać osyp, daninę i inne powinności.

Sądy wiejskie były najniższą instancją dla spraw gospodarzy wiejskich. Komplet sądu składali: wójt, ławnik wiejski i jeden dziesiętnik z kolei. Większość głosów decyduje, wyrok musi gubernator zatwierdzić. Czas sądu w każdéj chwili, oprócz niedzieli, ale strony muszą mieć zapowiedź sądu dnia poprzedniego.

Mieszanina tu jak zawsze, władzy administracyjnéj z sądową. Bo wójt nie tylko wyrokuje, ale i rządzi. Ławnik jest tylko jego zastępcą. Wiejscy byli rządcami gromad, dozorcami majątku i strażnikami skarbowéj woli. Był to rodzaj ekonoma patryarchalnego. Dziesiętnik był dozorcą dziesięciu włościan.

Kassjer wiejski pilnował wspólnego skarbu publicznego wioski. Wybrany być miał z pomiędzy wiejskich; obierali go wszyscy w obec dworu; klucz drugi od kassy był u gubernatora. Kassa mieściła się w pałacu pani, przy miejskiéj. Zapomogi wszelkie szły z niéj sposobem pożyczki. Kassa otwierała się 2 razy w rok, na św. Jan i na 1 stycznia.

Wolno było pojedyńczym włościom dawać do kassy do rozpożyczenia na procent. Dwór na początek dawał do kassy 1,500 złp. Zresztą kassę tę zbogacały: sprzedaż zboża z magazynu publicznego, zbywającego od potrzeby, dochód z pasieki wiejskiéj, z procentów i z połowy posagu po dziewkach w gotowiźnie go mających. Ekspens coroczny wynosił z niéj urzędowy złp. 222, z tych na wotywę w dzień świętéj Anny złp. 4. Białogłowie do babienia złp. 12, pasiecznikowi złp. 50.

Dom miłosierdzia był dla starców.

Place młodziańskie ustanawiały się, to jest: że każdy żeniący się włościanin po 10 wierzb lub drzew owocowych winien był przed weselem posadzić.

XI. Epilog.

W roku 178? odwiedzał Warszawę i rodzinną swoją Ruś książę biskup warmiński. Podróż z Warszawy na Ruś opisał w liście do księcia Stanisława Poniatowskiego, synowca królewskiego. Przeprawił się za Sieciechowem przez Wisłę pod Puławami, i przez Kurów i Lublin stanął w Wysokiem.

«I stanęliśmy w Wysokiem», powiada
Gdzie wdowa, a niemodna z zgorszeniem War-
[szawy,
Zamiast gotowalnianéj istotnéj zabawy,
Podłą się pracą bawi, śmie myśléć o roli,
I w pośród kmieci swoich bardziéj mieszkać
[woli
Niż błyszczyć w wielkim świecie....

Krasicki nie mógł żyć bez satyry, do któréj tyle miał powodu. W zacnem obywatelskiem sercu pochwalił księżnę, a zganił świat wielki warszawski. Trudno lepszéj i delikatniejszéj pochwały, a zarazem dowcipniejszéj i zgryźliwszéj z ludzi lekkomyślnych ironji.— Lecz na tych kilku słowach nie poprzestał Krasicki, chciał księżnie wojewodzinie bracławskiéj dźwignąć jeszcze kolosalniejszy pomnik, porównaniem prababek naszych z modnemi damami wielkiego świata.

«Zgorszył mie takowy sposób myślenia i postępowania: będąc zatem w jéj domu, zaraz sobie to w pamięci ułożyłem, iż ją przed wielkim światem (tak albowiem teraz z francuzka miasta stołeczne zowią) oskarżę.

Dobrze to było niegdyś, gdy prababki nasze
Wiedziały, kiedy bydło szło z obór na pa-
[szę.
Inny wiek, inne prawo; za wdziękiem i modą,
Damy, zwyczaj płci pięknéj przyzwoitszy
[wiodą;
Mogą dumać o trzodzie, lecz co Filis pędzi,
A wsparte na wygodnéj kanapy krawędzi,
Rozmyślać o pasterzach, o rolach, zagonach,
Lecz pasterzach, oraczach, Dafnisach, Damo-
[nach.

«Jeżeliby na tem mogło poniekąd szkodować gospodarstwo wewnętrzne domów, podłość by to była równać takową szkodę z oczywistym zarobkiem, wsparciem i rozkrzewieniem dobrego gustu». (Dzieła Krasickiego Tom II. Wyd. War., list do księcia Stanisława Poniatowskiego).

W tych wyrazach ironja jeszcze zgryźliwsza.

Krasicki w podróży odwrotnéj z Rusi, zawadził o Kock, dokąd przyjechał z Lubartowa. Był to hołd uroczysty oddany księżnie Jabłonowskiéj. Kiedy bowiem jechał książę biskup na Ruś, Wysokie leżało mu po drodze. Wracając do Warszawy zbaczał, koło zakreślał. Z Sanguszkami był w przyjaźni i bywał nieraz w Lubartowie, księżny zdaje się nie znał, a pragnął ją poznać.

«Daléj droga na Kock» powiada.
Gdzie Wieprz płynie korytem wązkiem, a głę-
[bokiem,
Taż sama pani w Kocku, która i w Wyso-
[kiem.
(Przebywała naówczas w Siemiatyczach).
Wszystkim chłopom, mieszczanom tego losu
[życzę,
Jaki mają Wysokie, Kock i Siemiatycze».

Książę biskup warmiński miał to szczęście, że cobądź powiedział, zdanie, czy myśl, to pochwytywał naród i zamieniał natychniast w przysłowie. Stało się coś równego z ostatniemi jego wierszami. Czytaliśmy je po kilkadziesiąt razy w różnych miejscach i czasach, cytowane i zastósowane. Wiersze te stały się historycznem przysłowiem, historyczną przypowieścią, a w każdym razie są hołdem złożonym znakomitéj obywatelce.

Wizyty królów, cesarzów i osób panujących domów były to więcéj hołdy składane dla osobistego charakteru księżnéj, słowa zaś Krasickiego polecają jéj drogą pamięć pokoleniom późnym.

Pani wojewodzina bracławska bawiła się i pracowała. Gdyby tylko bawiła się, już zabawa jéj była zacna. Bawiła się dobrze, z korzyścią dla narodu. Inni panowie bawili się inaczéj, w konfederacje, które zgubiły Rzeczpospolitę.

Upadku kraju nie przeżyła długo księżna wojewodzina. Dobra wprawdzie zostawiała w kwitnącym stanie, lecz po upadku Rzeczypospolitéj z reform księżny duch ustąpił i długoletnie prace jéj poszły w niwecz. Kock i Wysokie dostało się pod panowanie austryjackie, Siemiatycze pod pruskie. Wszystkie dobra swoje, księżna zapisała synowcowi męża, Maciejowi Jabłonowskiemu, starościcowi kowelskiemu, który nie dbał o porządki stryjenki i nic się z nich nie nauczył, bo był mężem wielkiego świata. Może dla jéj pamięci własnoręcznem pismem na dniu 1

lipca 1806 roku podarował włościanom wysockim 3,000 dni pańszczyzny, uwolnił ich od uciążliwych daremszczyzn i zawarował prawem, żeby najwięcéj 20 dni w roku na najem pociągała do pracy pańskiéj ekonomja. Są to zaiste reformy w duchu księżny (Wieniarski, Wysokie Lubelskie, artykuł w Księdze świata 1859, str. 218). Lecz książe Maciéj zwolennik cudzoziemczyzny, rozrzutny, sprawdził na sobie tylokrotnie opowiadane już zdarzenie, że ojciec gromadzi, a syn traci. Tak było i z dobrami Wysockiemi i nie upłynęło tyle lat, ile je księżna trzymała, jak opuszczone dobra przeszły przez ręce żydowskie. Jabłonowscy ich nie utrzymali.

Niewiemy przez jakie koleje przeszły: Kock i Siemiatycze, ale także bardzo już dawno nie panują w nich Jabłonowscy.

Zbiorów Siemiatyckich nie zdążyła księżna zostawić drukowanego opisu, dla tego mówimy o nich z posłuchu, powtarzamy to, co tradycja przyniosła aż do nas. Oceniono te zbiory zagranicą. Cesarz Aleksander w r. 1802 kupił je za cenę 50,000 dukatów, to jest: mniéj więcéj złp. miljon. Trudno było żądać większéj summy, kiedy nabywca kupował całość, lecz gdy słyszymy o wielkich nakładach księżnéj na gabinet, przekonywamy się, że zbiory jéj kosztować musiały nierównie więcéj, bo je gromadziła w ciągu lat tylu i do tego nie zostały w kraju, w rodzinie. Spadkobiercom chodziło o pieniądze, o zrealizowanie wartości naukowéj. Cesarz kupione przez siebie zbiory podarował akademji w Moskwie, która zaraz wysłała dwóch uczonych, akademika Siewiergina i jego zastępcę Sewastjanowa, żeby te zbiory sprowadzili do Moskwy. Siewiergin wydał podobno opis swojéj podróży na Litwę z powodu téj okoliczności.

Dowiadujemy się tych szczegółów z gazety: Korrespondenta Warszawskiego z roku 1804 (Nr. 35). Piszą tam już o księżnie jako o zmarłéj, bo „świętéj pamięci". Tak więc umarła pewno już przed rokiem 1802, kiedy sprzedaż zbiorów nastąpiła. Byłażby księżna w stanie rozstać się z przedmiotem namiętności swojéj przez całe życie? Wspominamy o tem, bo czytaliśmy tu i owdzie, że księżna umarła roku 1806. Otóż upadek kraju: nawet daty śmierci tak poważnéj osoby, jak księżna, dotąd nie doczytaliśmy się w gazetach.

Dnia 21 października 1866 r.

Jul. Bartoszewicz.

IGŁA I PIÓRO

(POWIASTKA).

napisał **Władysław S.....**

(Dalszy ciąg).

Na tém jednakże nie kończyło się podobieństwo, nie zbyt wesołéj doli dwojga sierot.

Oboje oni, chcąc poprawić swój los, chcąc otworzyć sobie karjerę, zapewnić przyszłość, wpadli z deszczu pod rynnę.

Od chwili rozpoczęcia nieszczęsnéj kandydatury na aplikacją, nędza, prawdziwa nędza, coraz częściéj i coraz szerzéj wyszczerzała swe zęby tak do Pawła jak do Maryni.

Przed wejściem na tę fatalną drogę, pan Paweł żył jako tako, ubierał się wprawdzie biednie lecz cało, jadł nie jak smakosz, lecz dość obficie i to formalny objad, a zdrowia nie nadwerężał, zabierając snowi zbyt wiele z godzin, do których naturalne miał prawo. Od chwili gdy opiekuńcza dłoń referenta ukazała mu w dali podwoje biurokratycznego nieba, nie było kiedy spać, nie było co jeść, nie było z czego nie tylko sprawić, lecz poprostu zreperować ubrania, jedném słowem nie było z czego żyć.

Z Marynią było zupełnie tak samo. Protekcja miłującéj ludzkość damy, obiecywała jéj wiele świetnych rzeczy, tymczasem jednak skazywała ją na głód i chłód, na wyczerpanie sił i ruinę zdrowia, na smutną konieczność odmawiania babce nawet tych drobnych wygódek i przyjemności, na które dawniéj jako tako starczyło, do których przywykła i do których wreszcie jako staruszka i jako kaleka podwójne, niezaprzeczone miała prawo.

I nie dziw, że się tak pogorszyła dola dwojga młodych lokatorów potrzasku. Oboje sześć godzin dziennie, godzin najwłaściwszych do pracy, pracować musieli za darmo. Przy żelaznéj pracowitości i wytrwałości wypróbowanéj, pozostałych chwil było za mało panu Pawłowi, aby wystarczyć swoim potrzebom, a témbardziéj Maryni żeby zapracować na dwoje.

Obojgu przychodziło na myśl poświęcić przyszłość dla teraźniejszości i porzucić pra-

cę, która nic nie przynosiła oprócz oddalonych widoków, ale nie czyniło tego ani jedno, ani drugie. Czemu?.... bo mieli nadzieję, że przecierpiawszy choćby lat parę srogiéj biedy, dobiją się pozycji, która ich byt zapewni i zabezpieczy, od tak strasznego dla pracujących następstwa,— od mogącego się przytrafić *braku pracy*.

Aż do téj chwili wprawdzie nie doznali tego, lecz któż im mógł powiedziéć, że los i tą niespodzianką uraczyć ich nie zamierza?....

III.

Jednego dnia p. Pawel przyszedłszy z biura, godzinę tylko siedział przy stoliku i ukończył robotę jaką miał. Zerwał się zatem szybko, pobiegł na miasto, odniósł przepisany zwój papieru, wziął kilkanaście złotych, krwawo zapracowanych, zapytał czy nie ma innéj rzeczy do przepisania i usłyszał odpowiedź, żeby się zgłosić dopiero za parę tygodni.

Pobiegł nie tracąc czasu do innych dwóch pracodawców, szukając jakiegobądź bruljonu, wszędzi odprawiono go z niczem. Jeden wyjechał, drugi się wyprowadzał, ten nie miał czasu, a tamten był chory...

— Ha! chwilowy zbieg okoliczności,— pomyślał sobie nasz kopista,— chociaż mi szkoda i tych kilku godzin. Ale nie ma złego, co by na dobre nie wyszło: raz przynajmniéj wcześnie spać pójdę i za wszystkie czasy wypocznę.

Wstąpił do traktyjerni, sprawił sobie ucztę, która musiała być obfitą, skoro całą czterdziestówkę kosztowała i była niezawodnie bardzo wyśmienita, bo po niéj, podskakując nieledwie, wesoły i uśmiechnięty powracał na Stare Miasto.

Już przeszedl cztery piętra i klucz włożył do kłódki, gdy nagle zastanowił się i pomyślał:

— Ale co będę robił w téj komórce?... Nie mam nic do roboty, więc świecy nie zapalę, a po ciemku siedzieć nie warto... Gdyby choć była książka.... ale zkąd jéj wziąść?.... Spać.... nie chcę mi się jeszcze... A gdybym się przeszedł po mieście?...

Byłby się zdecydował na to ostatnie, lecz przypadkiem spojrzał na buty, które groziły wypowiedzeniem posłuszeństwa.

— Nie! włóczyć się nie można.... butów szkoda! Co tu robić?

I oparł się o poręcz schodów, medytując i bijąc się z myślami, co robić z tym czasem, którego pracy poświęcić nie mógł, do stanowczego jednak postanowienia kto wie jak długo byłby nie przyszedł, gdyby go z zamyślenia nie obudził szelest kroków.

Przechylił się przez poręcz, spojrzał na dół i mimowolnie serce mu zabiło. Marynia powracała do domu. Nieśmiały nowicjusz czuł, że mu rumieńce biły do twarzy, zrobił krok nawet, żeby wejść do swéj izdebki i tylko przez szybę na nią patrzéć, nie wykonał jednak tego zamiaru i pozostał, a nawet... nawet powiedział sobie:

— Jakiż ja głupi, że się mieszam! Te piękne oczy przecież mnie nie zjedzą.

Marynia z drugiego piętra już spostrzegła, że jakiś młody człowiek oparty o poręcz spogląda na dół. Uderzyła ją ta drobna okoliczność, bo codziennie przywykła widzieć przez szybkę pracującego pana Pawła. Dla czego sobie robił rekreację, zgadnąć nie mogła, jakkolwiek nasunęło jéj się na myśl, że to może chęć spotkania się z nią była tego próżniactwa przyczyną. Nie było to nie miłem dla dziewczęcia, tak nam się przynajmniéj zdaje, gdyż chociaż powracała smutna czegoś i zamyślona, gdy dochodziła do czwartego piętra rozpogodziła się jéj twarz, i z uśmiechem odpowiedziała na grzeczny ukłon pana Pawła.

Bohater nasz miał mocne przedsięwzięcie zawiązać tą razą nieco dłuższą rozmowę z sąsiadką, ale gdy przyszło do wykonania tego zuchwałego zamiaru, zupełnie zabrakło mu odwagi, i byłoby się skończyło na niczem, gdyby Marynię nie wzięła chętka przemówić:

— Jakie to święto dzisiaj?...

— Święto pani... odrzekł pan Paweł, uradowany, że okazja, którą już miał za straconą, sama się nastręcza,— rzeczywiście jest to dla mnie....

Oniemal że nieskończył jakim romansowym komplementem, ale się zająkał, komplement spalił się na panewce i zamienił na prozaiczną bardzo odpowiedź:

— Ja nie wiedziałem nawet, że dziś święto... doprawdy!

— I ja nie wiem, lecz myślę, że święto być musi, kiedy pan wstał od stolika.

— O pani, to nie dla świętowania bynajmniéj... nie mam co robić przy stoliku,— odpowiedział pan Paweł.

— A! to zupełnie jak ja,—odrzekła na to Marynia,— i moja kancellarja dziś próżnować musi, bo mi chwilowo roboty zabrakło. Wszak prawda panie, że to jest przykra rzecz brak roboty, dla ludzi którzy z niéj żyć muszą.

— O! prawda pani.

— Gdyby tak trwało z tydzień, ja nie wiem cobym poczęła, ale na jutro mam obiecaną robotę.

— O, i ja jutro pewno coś do przepisywania dostanę.

Na tém skończyła się pierwsza, i dziwnie jak na pierwszą prozaiczna, rozmowa dwojga sąsiadów.

Marynia poszła na górę, pan Paweł wszedł do swojéj stancyjki i nie zapalając świecy usiadł na łóżku i dumał:

— Doprawdy, ta sąsiadka z piątego piętra, to jest cudne stworzenie. Żeby to jak naj-

prędzéj zostać aplikantem!... a z aplikacji prosta droga do posady, a mając już posadę można pomyśléć... kawałek chleba pewny... Nie tak jak dziś!...

Dopuszczając się zbytku, jakiego sobie tylko pary razy dziennie pozwalał, pan Paweł nałożył fajkę drajkienigiem i raczył się jego dymem.

— Dziś biéda,— mówił do siebie,— ale coby to było, gdyby mi tak przez tydzień zabrakło roboty? Ba, mnieby jeszcze było łatwiéj... jam mężczyzna to i o suchym kawałku chleba przetrwać mogę, ale gdyby tak ta biedna sąsiadka z piątego piętra tydzień została bez roboty?... Biedaczka, ona dziś już temsię kłopocze!... Ich dwie i zdaje się, że z tego tylko żyją, co im przyniesie igła téj ślicznéj dziewczyny... A!... serce by mi pękło, gdybym ją widział w takiem położeniu.

I znów zadumał się nasz bohater, połknąwszy spory kłąb dymu.

— Gdybym już był urzędnikiem, postarałbym się zabrać z nią bliższą znajomość... Ech! i pocóż posady czekać?... gdybym był chociaż aplikantem...

Fajka się skończyła i pan Paweł powtórnie wyszedł do sieni.

Tymczasem na piątem piętrze Maryuia ze smutkiem opowiadała babce, że roboty dostać nie mogła.

— Cóż robić, kochane dziecko... wypoczniesz sobie.

— Ja też tak myślę, babciu... Ale, wié babcia co, to szczególna rzecz... Tylko, że ja babci nie mówiłam....

— No, cóż takiego?

— To jest tak.... zbieg okoliczności... i pan Paweł także dziś nie ma roboty.

— A któż to jest ten pan Paweł?

— Prawda, że babcia nie wié.... mówiło dziewczę, krzątając się po pokoju,— to nasz sąsiad z czwartego piętra... zdaje mi się, że żyje z przepisywania... Kapitanowa mówiła, że to bardzo biedny chłopiec....

— Ale zkądże ty go znasz, moje dziecko?... czyś go u pani kapitanowéj spotkała?...

— Ech! nie babciu,— na schodach.

— O! ja nieszczęśliwa,— zawołała z rozpaczą babka, czegożem ja doczekała na stare lata!... Znajomości na schodach, i to z mężczyznami....

— Ależ, babciu, ja nie znam pana Pawła, tylko z widzenia... okno jego wychodzi na sień, przy tém oknie pisze ciągle... nie można go nie widziéć... czasem spotykam go na schodach i ukłoni mi się... To przecie nie grzech, prawda babciu?

— No, to jeszcze nie grzech,— rzekła udobruchana staruszka,— a zresztą tyś dobre dziecko, i ja się po tobie niczego złego niespodziewam.... Tylko zkądże wiesz, że pan Paweł nie ma roboty?... Czy ci kapitanowa mówiła?...

— Nie... ale... bo... bo... stoi w sieni z założonemi rękami i smutny.

— To pewno próżniak jaki...

— Gdzie tam babciu! odkąd tu mieszkamy zawsze go widzę, że siedzi i pisze... a przytem chodzi do biura...

— A! więc to urzędnik....

— Kapitanowa mówiła, że aplikant, więc pensji nie bierze.... musi żyć z tego, co sobie po godzinach biurowych pisząc na arkusze zarobi... a tu właśnie nie ma roboty.

— Biedny chłopiec!— ulitowała się staruszka,— no, ale moje dziecko, co ci tam myśléć o nim!... mało ty masz swojéj biedy, ze starą babką na karku, która niczem dopomódz....

Marynia nie pozwoliła dokończyć staruszce. Pobiegła do niéj z pieszczotami i drobną rączką zakryła jéj usta:

— Babuniu, nie mów mi tego, bo się rozpłaczę doprawdy.

Utuliwszy staruszkę Marynia zabrała się do przeglądania różnych gałganków, szukając jakiéj roboty domowéj, nic jednak znaleść na razie nie mogła, a może i nie bardzo serdecznie pragnęła, bo po krótkim przeglądzie zamknęła kuferek i wyszła na chwilę do sieni.

Zapewne mimowolnie spojrzała na dół i przekonała się, że pan Paweł był znowu na czwartem piętrze.

Jakoś i oczy pana Pawła, zapewne przypadkowo podniosły się w górę i zobaczyły Marynię, któréj rysy przed chwilą wyobraźnia mu przypominała.

Zawiązanie drugiéj rozmowy nie szło już tak tępo jak pierwszéj. Tą razą pan Paweł poczuł się do obowiązków dobrze wychowanego mężczyzny, i rozpoczął:

— Nieprawdaż pani, że to nudno być bez zajęcia?

— Ech! panie,—odpowiedziała Marynia,— tylu ludzi próżnuje, a bawi się. Od czegoż są spacery, teatr...

— Wszystko to drogo kosztuje, proszę pani,— odpowiedział z westchnieniem pan Paweł.

— Więc pan zostaje w domu wieczór?

— W domu pani....

— Ja, bo mam babcię, to mi przecież weseléj... ale pan sam... i to jeszcze w takiéj...

Tu ugryzła się Marynia w język.... chciała zganić mieszkanie pana Pawła, ale pomyślała sobie:

— A może mu to przykro będzie jak zganię? Po co przypominać biedę?

I szybko choć nie zbyt zgrabnie przemieniła frazes zaczęty:

— I to jeszcze w takiéj porze, kiedy naj przyjemniéj przepędzać czas w kółku rodzin-

nem.... Ot, żeby się rozerwać, powinienbyś pan pójść wieczorem do kogo z familji.

— Nie mam nikogo z familji— odrzeł pan Paweł.

— Masz tobie pomyślała Marynia — nie chciałam mu przypomnieć o biedzie, a przypomniałam o sieroctwie. Nie idzie mi dziś jakoś rozmowa. Głupstwa plotę.


Przechylił się przez poręcz, spojrzał na dół i mimowolnie serce mu zabiło.

I jakby chcąc się ukarać za mimowolnie wyrządzoną sąsiadowi przykrość, przerwała rozmowę, która nie musiała być dla niéj nieprzyjemną — ukłoniwszy się tylko odchodząc.

— Już pani odchodzi?— zryzykował się powiedzieć pan Paweł.

— Zdawało mi się, że mnie babcia woła,— skłamała Marynia i powróciła do siebie.

Wróciwszy była zakłopotana. W głowie jéj powstała myśl do wykonania któréj, potrzeba było pozwolenia, a nawet wspołudziału babki, téj zaś znowu ta myśl mogłaby nie wpaść do przekonania. Medytowała Marynia jakby nakłonić babkę do swego zamiaru, i zaczęła z nią rozmowę, obchodząc przedmiot zdaleka.

— To musi być bardzo smutno, nie mieć nikogo z rodziny, nieprawdaż babciu?...

— Zkądże ci to przyszło moje dziecko?

— A tak!... bo widzi babcia, ja kiedy nie mam roboty, to sobie myślę, jakam ja szczęśliwa, że z babcią pogadać mogę. Ale kto nie ma tego wszystkiego... kto nie ma babci?...

— To ma siostry, braci, ojca, matkę,—odpowiedziała staruszka, nie wiedząc do czego to zmierza.

— A! ba!... taki to jeszcze szczęśliwy... Ale kto nie ma tego wszystkiego.... kto nie ma jednem słowem nikogo... sam... jak palec....

— Przyznam ci się, moja Maryniu— odrzekła z lekkim odcieniem niezadowolnienia babka,—że ci dziś dziwne myśli przychodzą do głowy. Szczebioczesz jak dziecko. Ja sama nie wiem co odpowiedzieć. No już ci kto nie ma nikogo to jest sam. Rzecz prosta.

Marynia zamilkła zarumieniona.

— Oho! niełatwo będzie z babką — pomyślała.

I zamyśliła się biedaczka, szukając w głowie innego sposobu dopięcia swego celu; szukała go dość długo i wytrwale, nic jednak wymyśléć niemogła.

— Szkoda!... mówiła sobie w duchu— w temby przecież chyba nie było nic złego, a takby to było poczciwie, gdybym za mimowolnie wyrządzoną przykrość mogła zaprosić do nas pana Pawła na szklankę herbaty... Zapomniałby na chwilę, że nie ma nikogo z rodziny, a tak przezemnie cały wieczór o tem myśléć będzie. Doprawdy nigdy sobie tego nie daruję...Szkoda!... chociaż co się odwlecze, to nie uciecze.

Pocieszona cokolwiek tem przysłowiem, przeszła do innéj kwestji zadając babce pytanie:

— Cóż dziś wieczór robić będziemy?

— Co?... albo ja wiem moje dziecko?... wypoczniesz sobie.

— Ależ babciu, z założonemi rękami siedzieć niepodobna, a do roboty nie ma nic.

— No, to może mi co przeczytasz...

— Tak, kiedy książek nie ma... chyba od kapitanowéj pożyczę.

— Dobrze moja kochana... zajdź do kapitanowéj, pokłoń się jéj odemnie, pogadaj trochę, rozerwiesz się, i przynieś jaką książkę.

Marynia przygładziła włosy, przejrzała się w lusterku, zarzuciła małą chusteczkę na szyję i zabrała się do wyjścia.

Tymczasem pan Paweł po odejściu sąsiadki powrócił do swojéj komórki.

— Czym ja głupstwo jakie powiedział — mówił do siebie — że sąsiadka tak nagle odeszła?...

I zaczął robić rachunek sumienia, czyli ścisły rozbiór każdego słowa, jakie wymówił w téj ostatniéj rozmowie.

Rozbiór ten, pomimo całéj ścisłości nie mógł być długi, boć pan Paweł zaledwie kilka krótkich zdań powiedział: że bez zajęcia być trudno, że zabawy drogo kosztują, że zostanie w domu, i że nie ma nikogo z familji, a w tem wszystkiem, nawet w najśmielszem zapytaniu: „już pani odchodzi?” nic obrażającego być nie mogło. Prędko zatem pocieszył się nasz bohater, i rad temu że na przyszłość spotkawszy się z Marynią, będzie już mógł zawsze zawiązywać rozmowę, gdyż pierwsze lody przebite zostały, zaczął tak jak jego sąsiadka, kłopotać się co zrobić z temi godzinami, które mu los darował, jakby wyraźnie zastawiając sidła na jego ostatnie złotówki.

— Kiedy się próżnuje, to naturalnie różne niedobre myśli przychodzą do głowy.

Panu Pawłowi najrozmaitsze nasuwały się pokusy.

— Ot, pójdę do teatru na paradyz,— myślał sobie,— dwa lata już nie byłem. Dziś teatr Rozmaitości a złotówka to znowu nie tak wielki zbytek.

Zwyciężył jednak tę pokusę.

— Albo pójdę się przejść... Buty czy tak czy tak podrzeć się muszą, a chociaż spadną z nóg dzień prędzéj, to dla kieszeni prawie wszystko jedno.

Ta nowa chętka ustąpiła nie tyle przed rozumowaniem co przed wcale innym projektem.

— Najlepiéj byłoby pójść do kogo... jak sąsiadka radziła... ale do kogo?...

Zadumał się pan Paweł przez chwilę — a potem... czego to człowiek nie pomyśli, jak nie ma nic do roboty!... potem rzekł do siebie:

— A gdyby pójść... na piąte piętro?...

Aż się przeląkł téj zuchwałéj myśli, która mimo strachu jaki budziła, opuścić go przecież nie chciała.

Z początku nawet wydało mu się to więcéj niż niepodobieństwem, ale w końcu wytłomaczył sobie, że chociaż ani myśléć nie było można, o przyjściu ni ztąd ni z owąd z wizytą, można było przecie zamówić się o co.

— Lecz o co by tu?... myślał znowu — o godzinę?... a nuż nie mają zegarka... o szklankę wody?... toć sobie sam wodę noszę ze studni.... o igłę z nitką ?.... tak, dobrze będzie o igłę z nitką... powiem że mi się co rozpróło, albo że kajet zeszyć muszę... Możnaby także o zapałkę... A więc, pytanie o co lepiéj, cy o igłę, czy o zapałkę?...

Położył palec wskazujący ręki prawéj na stole, obok niego tenże palec ręki lewéj, potem palec prawy przełożył na drugą stronę lewego, późniéj toż samo uczynił z lewym, i tak szedł daléj, aż do rogu stołu.

Za każdą przemianą palca powtarzał:

— Igła... zapałka... igła... zapałka... igła... Wypadło na igłę.

— A więc pójdę pożyczyć igły— rzekł do siebie, zapalił świecę, uczesał się, oczyścił szczotką ubranie i wyszedł z bijącem sercem.

Gdy przyszło do wchodzenia na wschody zaczęło mu brakować odwagi.

— Czegoż ja drżę?... głupi!... no daléj... odważnie.... nitki z igłą.... chciałem powiedziéć igły z nitką...

Dodając sobie ducha ciągłem powtarzaniem wyrazów: „igły z nitką”, postąpił cztery wschody, lecz jeszcze prędzéj wrócił jak poszedł.

— Nie wiedziałem, że to tak będzie trudno,— myślał.

Kilka minut stał przy drzwiach swoich nie zdecydowany, następnie nabrał ducha, powiedział sobie: niech się dzieje co chce, poprzysiągł, że się nie tylko nie cofnie, ale nawet nie obejrzy się, puścił się dosyć pewnym krokiem, doszedł o dwa stopnie wyżéj niż poprzednio.

Na szóstym wschodzie stanął jak wryty, niby złodziéj na gorącym przydybany uczynku.

Drzwi facjatki otworzyły się. Marynia wychodziła właśnie do kapitanowéj po książki.

Nim pan Paweł zdecydował się na odwrót, była już przed nim.

— A! to pan!... i pan szedł na górę?... rzekła, poznając go zdziwiona.

— Nie pani... przeciwnie... to jest... chciałem... bo... zająkał się nasz bohater, aż wreszcie widząc, że ze swojéj bytności na wschodach niczem usprawiedliwić się nie zdoła, bo o owéj igle z nitką na śmierć ze strachu zapomniał, pastanowił zagadać zapytanie.

Tak to w chwili niebezpieczeństwa przychodzą heroiczne postanowienia.

— Więc pani wychodzi?— rzekł z taką miną, jakby już wyjąkał odpowiedź na poprzednią kwestję Maryni.

— Idę na drugie piętro do kapitanowéj, pożyczyć jakiéj książki do czytania.

— O! to bardzo przyjemna rzecz czytać.... bardzo przyjemna rzecz! — mówił pan Paweł, jeszcze ciągle zakłopotany i niewiedzący jak wybrnie z kłopotu.

Musiała się Marynia, filutka, domyślać cokolwiek tego ambarasu sąsiada, a że miała serce z natury litościwe, więc go nie chciała

przedłużać, grzecznie skinęła mu głową i zbiegła szybko, zostawiając pana Pawła na szóstym wschodzie.

Gdy już znikło echo jéj kroków, pan Paweł opamiętał się.

— Jakiż ja niedołęga!— rzekł— trza mi było zapomnieć o téj igle z nitką...

Zszedł ze schodów, powrócił do siebie i znowu bił się z myślami.

Tą razą inne pokusy nie nęciły go już wcale; chciał użyć czasu wolnego, tak jak go spożytkować zamierzała Marynia, na czytanie książki, chodziło tylko o to zkąd jéj wziąść?

— A gdyby od kapitanowéj pożyczyć?...

Ta myśl wydała mu się najpraktyczniejszą, i po kilku chwilach wahania, nie bez bicia serca co prawda, ale z mniejszą niż na górę obawą, zeszedł o dwa piętra niżéj i zapukał do drzwi kapitanowéj.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGADANKI NAUKOWE.

PRZEPOWIEDNIE METEOROLOGJI.

STRESZCZENIE Z OBSZERNÉJ PRACY P. JAMIN.

przez **J. Dobieszewską (Śmigielską).**

Po nad lądami i morzami unosi się ten płaszcz ziemi naszéj, który powietrzem atmosferycznem zowiemy. Lekki i przejrzysty, a jednak chroni ją od zimna i we wnętrzu jego dopełniają się fenomena deszczu, gradu, wiatrów, straszne burze, trąby powietrzne, pozorne nieporządki, które nic nie znaczą w naturze i wydają się nawet zwyczajnemi zjawiskami dla badającego fizyka, lecz dla ogółu mieszkańców ziemi, stanowią epoki w życiu, klęski prywatne lub publiczne.— Ogół zwykle się tego nie domyśla, że powietrze jest wazkie czyli ciężkie, że rozrzedzone przez cieplik lżejszem się staje; przytem jest elastyczne, bo zmniejsza swoją objętość pod ciśnieniem, z którego oswobodzone wraca znów do niéj.

Jest rzeczą dawno dowiedzioną, że wyższe warstwy powietrza atmosferycznego, które już stykają się z bezmierną wszechświata przestrzenią, są bardzo rozrzedzone, a jednak swym, jakkolwiek małym ciężarem, tłoczą poniżéj będące warstwy, które im bliższe ziemi, tem są ściślejsze i wywierają parcie na powierzchnię każdego przedmiotu, co nazywamy ciśnieniem atmosferycznėm. To ciśnienie wymierzone zostało od czasu wynalezienia barometru, który składa się z rurki szklannéj próżnéj, (t. j. bez powietrza wewnątrz), a z nią się styka bańka wypełniona merkurjuszem. Powietrze wywierając parcie na merkurjusz, sprawia jego wstępowanie w rurkę, na taką wysokość, na jakiéj zrównoważyć może ciśnienie atmosferyczne. Skoro ciśnienie jest mniejsze, merkurjusz w rurce opada i przeciwnie—wznosi się, gdy ciśnienie się powiększa.

Znajdujemy powietrze na najwyższych górach, ale jest go tam coraz mniéj, a więc jest rzadsze z przyczyny mniejszego ciśnienia, bo słup atmosfery cisnący na powierzchnię dolin, jest większy od słupa atmosfery cisnącego na wierzchołki gór.

Są to wszystko rzeczy dobrze znane i które nawet dziś po żeńskich już pensjach wykładają, jednakże wypada przypomnieć je po krótce, chcąc mówić o wiatrach, deszczach i burzach, coraz ściśléj dla pożytku mieszkańców ziemi obserwowanych. Wprawdzie oddawna już bywali szarlatani przepowiadający słoty i pogody, oraz łatwowierni, co im wierzyli, jednakże wolno jeszcze wątpić, czy na drodze badań meteorologicznych, do podobnych lecz prawdziwych przepowiedni kiedykolwiek dojdziemy.

Pomijając jakie są części składowe powietrza, co dla nas mniéj ważne w téj chwili, pamiętajmy głównie o tém, że zawiera wodę pochodzącą z parowania wszystkich mórz, jezior, rzek, stawów na kuli ziemskiéj, a nawet z gruntów w czasie deszczu przemiękłych. Ilość wody znajdującéj się powietrzu, jest zmienną; zawsze większą gdy powietrze jest ciepłe, a więc w strefach gorących— mniejszą w czasie zimy i w strefach lodowatych. Czyli inaczéj na 40 stopni ciepła powietrze zawiera dużo pary wodnéj, a bardzo mało gdy temperatura jest niżéj zera. Gdy powietrze zawiera wody (w stanie pary) tyle, ile tylko objąć może, mówi się: że jest nią *nasycone;* zwykle nie jest takiem, ale tylko bliskie nasycenia, to jest wilgotne, gdy zaś

bardzo od nasycenia dalekie, nazywamy je suchem. Ztąd widzimy, że ogrzewając do czterdziestu stopni, powietrze już nasycone w temperaturze 0, osuszemy je i przeciwnie oziębiając do zera powietrze mające 40 stopni ciepła, można je zrobić wilgotnem i nawet parą nasyconem.

Gdy jeszcze bardziéj oziębiać się zacznie, woda w niém zawarta przejdzie ze stanu lotnego w płynny; taki jest początek deszczów, oraz innych zjawisk wodnych, i tak np. gdy trawa łąk się mocno oziębia, to para na jéj powierzchni przemienia się w krople *rosy*, gdy zaś oziębia się powietrze całéj doliny, woda zeń układa się w kropelki za drobne, aby miały upaść, lecz swą ilością zaciemniające przestrzeń, co się nazywa *mgłą*. Gdy się to przytrafia w wyższych warstwach powietrza, mgła nie zmieniając natury swéj, zmienia tylko nazwisko i zostaje *chmurą*.

Chmura widziana zdaleka w górnych przezroczach powietrza, przybiera od blasku słonecznych promieni owe barwy złociste, których fantastyczność podziwiamy; nareście gdy jego ścisliwość się zwiększa, krople grubieją i stopniowo to co było mgłą tylko, w deszcz się przemienia.

Ścieśniając powietrze, nietylko że się zmniejsza jego objętość, ale się sprawia ten sam skutek co oziębiając je. Weźmy naprzykład dwie miarki powietrza, każdą zawierającą 15 centigramów pary, zredukujmy je obiedwie przez ciśnienie do jednéj miarki, która wtedy 30 centigramów pary zawierać będzie, a więc powietrze w niéj, stanie się więcéj niż nasycone. Krótko mówiąc, ciśnienie i oziębienie działając razem, lub każde z osobna, mogą sprowadzić deszcz, rozgrzanie zaś i rozszerzenie zrobią skutek przeciwny. Skoro powietrze oziębia się i rozszerza, co ma miejsce wtedy gdy się wznosi, doznaje wtedy dwóch przeciwnych wpływów i według tego, jak jeden lub drugi bierze górę, widzimy spadający deszcz, lub rozpraszającą się mgłę.

Najzwyklejszą przyczyną deszczów, jest spotkanie się dwóch wiatrów, zimnego i ciepłego, które chociaż nie są nasycone parą, ale bardzo łatwo niemi zostają. Cieplejszy oziębia się i przez to zostaje przesycony, a chociaż zimny rozgrzewa się i osusza, jednakże pierwsze działanie bierze zawsze górę nad drugiem i to sprowadza deszcz. Objaśnijmy przykładem: jeden wiatr ma temperaturę 0, i zawiera 4 centigramy pary, drugi ma 40 stopni ciepła i pary 50 centigramów. Pomieszane w jednakowéj ilości, schodzą do 20 stopni ciepła, i zawierają średnio 27 centigramów wody na litr. Otóż w téj temperaturze nie mogą jéj znieść tylko 18, jest więc 9 za nadto. Ta zbyteczna ilość wylewa się deszczem. Takie jest fizyczne rozwiązanie kwestji tego fenomenu, lecz kwestja jego mechanizmu jest bardziéj skomplikowaną.

W ogólności można powiedzieć, że ruch powietrza sprawia deszcz i pogodę. Gdyby atmosfera była niewzruszoną i niejako przywiązaną do miejsca, nad którem się wznosi, pozostałaby zawsze suchą nad lądami, któreby nie znały deszczów, nieustającemi znów nad morzem. Wiatr ma tedy zadanie przenoszenia wody w postaci pary; czerpie ją w strefach gorących i do umiarkowanych przenosi, w taki sposób raz wraz powtarza swą wędrówkę.

Ażeby zrozumieć jakie prawa rządzą deszczami, trzeba odkryć jakie są drogi wielkich prądów powietrza. Nie można więc poprzestać na tém, co dawna czyniła meteorologja, to jest na obserwowaniu faktów luźnych w niektórych miejscowościach, trzeba (jeżeli tak powiedzieć można) pokryć świat obserwatorami, spisywać każdego dnia i na każdém miejscu stan globu ziemskiego, potem wszystkie otrzymane z tych obserwacji wypadki, skoncentrować w jednem ręku, u ludzi, którzyby je uporządkowali i wyprowadzili z tego prawo (jeżeli ono istnieje) kierujące wiatrami i sprawiające deszcz. Łatwiéj jednak powziąść myśl takich prac, niż zjednoczyć się ściśle, aby je wykonać.

Lavoisier podobno, powziął pierwszy ten zamiar. Między rokiem 1835 a 1841 pan Quetelet ustanowił w Brukselli *centrum* stowarzyszenia meteorologów, których zadanie było jednakie. Rossja pokryła się obserwatorjami rządowemi, lecz do największego rozwinięcia tego pomysłu przyłożył się p. Maury, oficer marynarki Stanów Zjednoczonych. Działał on z celem przysłużenia się ojczyznie, przez możność wskazania marynarzom dróg najprostszych, a więc skrócenia podróży. Zebrał zatem wszystkie obserwacje meteorologiczne, jakie tylko mógł zebrać z raportów okrętowych i opisów podróży, potem na mappie kuli ziemskiéj, w każdym kwadracie zakreślonym przez południki i równoleżniki, naznaczył kierunek wiatrów, które w tém miejscu były obserwowane. Posługując się przeszło miljonem spostrzeżeń, mógł urządzić mappę, która wskazywała całość głównych kierunków prądów morskich i powietrznych. Uczyła ona, że aby najszybciéj przenieść się z kraju do kraju, trzeba obrać drogę, którą nakreślają te prądy i wracać nie tą samą drogą, gdzieby się już miało wiatr w oczy, ale inną, tak wybraną, żeby dążyć razem z wiatrem. Długożeglarze opierali się radom pana Maury, nareszcie jeden z nich, kapitan Jackson, odważył się na próbę roku 1848 i odbył w 24 dni z Baltimory drogę, która ich zwykle 41 zabierała. Wszystek już opór upadł przed powodze-

niem ciągle się powtarzającém. Wkrótce rząd Stanów, zaproponował państwom morskim w tym celu kongres, na którymby uczeni i żeglarze zgodzili się na jednostajny program obserwacji. Zgromadzono się w Brukselli, w sierpniu 1853 roku. Jest to pamiętna data w historji meteorologji, odtąd bowiem każdy statek przemienił się na obserwatorjum, gdzie starannie zapisują wszystko to, co sprawia zamieszanie w atmosferze.

Poruszenia powietrza są mechanizmem bardzo prostym. Łatwo to stwierdzić można na przykładach. W czasie palenia drzewa na kominie rozgrzewa się powietrze, robi się lżejszém i otworem komina w górę unosi. Wychodząc nawet po nad dachy nie zatrzymuje się, gdyż w czasie ciszy uważać możemy, ciągłe podnoszenie się dymu w górę. To poruszenie robi w koło ogniska próżnię częściową, wypełniającą się w téj chwili powietrzem z pokoju, które się wkrótce tą samą drogą wynosi. Krążenie jego utrzymuje palenie, palenie sprawia ciepło, a ciepło znowu krążenie odżywia. Gdy wtedy przyłożymy rękę do szpar okien i drzwi, przekonamy się, że tamtędy ciśnie się ciągle powietrze z ulicy, aby zastąpić to, które kominem uszło. Taki sam proces odbywa się w lampie. Wypuszcza ona przez rurę swego szkła, nieustającą kolumnę gorącego powietrza, pędzącego tak szybko, że może zachwiać płomień świecy na drodze mu postawiony, a nawet ją zgasić. Ten zaś prąd ciągnący ku sufitowi, przyzywa nowe powietrze, wciskajace się przez będącą pod szkłem ażurową galeryjkę. Z tych przykładów utworzyć można prawo fizyczne: ile razy powietrze jest ogrzane w pewnéj przestrzeni, wznosi się i przyzywa na swoje miejsce powietrze z okolic sąsiednich.

Łatwo już pojąć, że wszelkie oziębienie sprawi wprost przeciwny wypadek. Gdy nasze mieszkanie jest dobrze ogrzane, a szyby mocno zamarzłe, dotykające do nich powietrze oziębia się, staje się cięższém i ślizgając się po szybach, na podłogę opada, rozrzedzone zaś powietrze ciepłe, będące u sufitu, ulegając prądowi opuszcza się, znacząc kurzem, jaki w sobie zawierało, ślady swego przechodu na oknach i firankach. Połączmyż teraz te dwa skutki zimna i ciepła; w tym celu przypatrzymy się piecowi ogrzanemu w oranżerji; przyzywa powietrze do siebie i rozrzedzone w górę wyrzuca, tymczasem studzą je szyby, robią cięższem, a tém samem spychają na dół, wraca więc znowu do pieca po posadzce. Dwie tedy różne przyczyny złożyły się na utrzymanie podwójnego krążenia, czyli podwójnego prądu; jednego gorącego unoszącego się w górę od źrodła ciepła, drugiego zimnego, który doń wraca.

Te fakta proste można zastosować do całéj atmosfery. Kula ziemska jest bardzo nierówno ogrzana przez słońce. Do biegunów wcale nie dochodzą jego promienie, w strefach umiarkowanych o tyle więcéj, o ile ich szerokość jest mniejsza, tam zaś gdzie promienie te padają prostopadle, jest ciepła najwięcéj. Strefę tę gorącą możnaby porównać do ogniska obiegającego ziemię, a utrzymywanego przez słońce. Tam jest powietrze najgorętsze, ale też najlżejsze, tam się ono wznosi jak w naszych kominach, otaczając ziemię pierścieniem; jest to niejako luft czyli komin atmosfery. Pociąga za sobą warstwy powietrza otaczające równik, te znów w ruch wprawione pociągają powietrze z okolic wyżéj położonych, i to przyzywanie powtarzając się od bliższego do dalszego, sprawia w niższych warstwach powietrza ruch jednolity, który je przenosi od północy na południe, ku równikowi. Są to dwa *prądy biegunowe*. Tymczasem wielka massa powietrza, która się podniosła ku pierścieniowi, musi chwilę, jakby zawahana na ostatnich krańcach wyżyn atmosferycznych krążyć i rozciągać się na podobieństwo mgły, która unosi się zwykle nad kraterami wulkanów; ztamtąd dwoma pasami ziębniejącemi przez drogę, bieży w strony podbiegunowe i dotyka się ziemi, aby znowu zmienić kierunek. Ta wędrówka wyższych warstw powietrza, stanowi prądy podrównikowe. Nie będziemy wchodzić w szczegółowe objaśnienie biegu tych prądów, powiemy tu tylko, że w naszéj Europie, atmosfera porusza się od zachodu na wschód i brzegi zachodnie najwięcéj odbierają zeń wody. Jest jeszcze przyczyna odrębna, która wpływa na większą ilość spadających tam deszczów; jest to podwyższona temperatura północnych części Atlantyku, temperatura utrzymywana w tym stanie przez okoliczności, które wyjaśnić tu wypada.

Wody Atlantyku rozgrzane i rozprężone przy równiku, tworzą rodzaj wału; oziębione przy biegunach, opadają nabywając przez to dążności do dwóch prądów: równikowego i biegunowego. Poruszenie powietrza decyduje ich kierunek. Nie można zaprzeczyć wpływu wiatrów na morze; marszczą jego powierzchnię, tworzą bałwany, które pędząc przed sobą, powiększają lub zmniejszają przypływ lub odpływ morski, według tego jak wieją z biegiem wody, lub przeciw niéj. Otóż, ponieważ na północ i na południe wspomnionego pierścienia powietrznego, wiatry od północy i południa zestrzeliwając się w jeden prąd, dmą ku zachodowi, porywają więc ku stronie Ameryki najcieplejsze wody Atlantyku; ten ruch zaczyna być widocznym na południu Przylądka Zielonego i ciągnie się daléj ze wzrastającą szybkością do Przylądka San-Roque.

Wszystkoby to było dobrze, gdyby nic nie zamącało tego pięknego porządku; wtedy każdy rok regularnie o téj saméj porze sprowadziłby znane zmiany temperatury, ale wszystkie dostrzeżone dotąd prawa ruchu powietrza są ciągle zakłócane wypadkami niespodzianemi, a czasem nawet strasznemi, które zjawiają się tak szybko jak lawiny i tak jak one kończą się zniszczeniem. Weźmy np. opis naocznych świadków jednéj z największych burz, która dla swéj wyjątkowéj, strasznéj natury, nazwana była *wielkim uraganem*.

Ósmego października 1780 roku, przyszła z południo-wschodu przez Małe Antylle. Tam zatopiła flotę admirała *Rodney* i zerwała dachy wszystkich domów. Dziesiątego dosięgnęła Barbadów, gdzie admirał *Hatham* stracił 6 okrętów. W Sainte-Lucie sześć tysięcy osób znalazło śmierć pod gruzami rozwalin; ludzie i zwierzęta zmiatani byli z ziemi i ciskani w powietrze, morze jakby pompowane wznosiło się i opadało słonym deszczem. Wzniosło się tak wysoko, że rozwaliło fortecę, rzuciło okręt na szpital wojskowy, który został tym ciężarem zdruzgotany; wnętrze zaś wód było tak wstrząśnięte, że wyrzucały całe ławice korali wyściełające dno zatoki.

W Martynice klęska ta spotkała 50 okrętów francuzkich, przewożących sześć tysięcy wojska i eskortowanych przez dwie fregaty; z tych, sześć statków zaledwie ocalało, reszta *znikło*; tem wyrażeniem doniósł o ich stracie rapport urzędowy. Dziesięć tysięcy osób zginęło w Martynice, tysiąc w Saint-Pierre, gdzie ani jeden dom cały nie został. W Port-Royal katedra, 7 kościołów, tysiąc domów, były na proch starte i 600 chorych znalazło śmierć w szpitalu, następnie uragan przeszedł przez Puerto-Ricco, 18 października dosięgnął wyspy *Mona*, potem skręcając się na północno-wschód dosięgnął Bermudów i utonął nareszcie w oceanie, gdzie jeszcze jakiś czas przeprowadzał sceny zniszczenia. Przejście jego oznaczało się nieustającemi błyskawicami, pioruny biły we wszystkich kierunkach. Hałas był taki, że nie słyszano obalania się domów i admirał *Rodney* opowiadał, że trzęsienie ziemi, które nastąpiło skutkiem wielkiego ciśnienia powietrza, przeszło niepostrzeżenie. Deszcz spadał prostopadle, tak obficie, że zaciemniał widnokrąg, a tak gwałtownie, że krew tryskała od uderzeń jego. Gdy nieszczęśliwi którym się przeżyć udało tę katastrofę, wyszli z kryjówek swoich, przedstawił im się obraz najokropniejszego zniszczenia. Morze pokryte było trupami i rozmaitemi szczątkami; doliny całkiem jakby zmyte, drzewa powyrywane z korzeniami, te zaś które zostały, nie miały ani jednego listka; z dzieł pracy ludzkiéj nie było ani śladu, i głód czekał na tych, których klęska oszczędziła.

Ze względu też na te niespodziane wstrząśnienia atmosfery, wyradzające w niéj zmiany trudne do ujęcia obserwacją, ludzie poświęcający się meteorologji, nie ustając w usiłowaniach, twierdzą jednak, że nauka ta nigdy nie będzie mogła dojść do tego, żeby wskazywać z pewnością, jakie w danym czasie nastąpią zmiany w powietrzu.

STOLICA PROWINCJI ZABAJKAŁSKIÉJ.

(WYJĄTEK Z LISTU).

Miasto Czita, stolica prowincji Zabajkalskiéj, rozciągającéj się od środka wielkiego jeziora do początków właściwego Amuru i od granicy prowincji Jakutskiéj do granic Mongolji, leży pod szerokością jeograficzną Warszawy 52° 1' — 0" różni się więc tylko o 12'—5". Zbudowana jest u wschodniego podnóża gór Jabłonnych, w piaszczystéj nizinie rzek Czity i Ingody, która po złączeniu się z Szyłką i Argunią, przelewa się w wspaniały Amur, toczący się kilkunastu wiorstową szerokością do Oceanu.

Miasto samo jest jeszcze bardzo młode, niedawno założone, nie można więc wymagać od niego piękności, ani ogromu; posiada jednak 2 kościoły, piękną rezydencję władz, wyborny szpital, kilkanaście wielkich budynków rządowych, jak arsenał, koszary, biura i t. p., bazar otoczony kramami, resursę i 2 szkoły wyższe, męzką i żeńską, które wkrótce mają być podobno przekształcone w gimnazja. Wydział statystyczny Towarzystwa Jeograficznego utrzymuje tu bibliotekę publiczną rosyjską. Całe miasto zbudowane jest z drzewa i niebrukowane. Handel bardzo rozwinięty, jest parę magazynów, w których można dostać wszystkiego: szampana, paryzkich mód i łyżeczek Frageta; życie więc jest europejskie i tylko tłumy konnych burjatów, sprzedających lub kupujących na bazarze, nadają miastu charakter azjatycki i malowniczy.

Burjaci, tutejsi autochtonowie, są to mongoły wyznania lamajskiego, z płaskiemi brunatnemi twarzami, o wystających szerokich policzkach, czarnych wąskich skośnych oczach, twardych, czarnych włosach ogolonych i splecionych na środku głowy w warkoczyk. Ubierają się dość ładnie, w kolorowe długie, do ziemi, szlafroki ściśnięte pasem, sarnie buty, skórzane spodnie i oryginalne czapki lub chińskie kapelusze; na deszcz mają płaszcze długie z ciemnego sukna z kusą pelerynką, a na zimę szuby jelenie, lub baranie włosem do góry. U pasa wisi kapciuch i chińska maleńka fajka; koszul nie używają wcale. Kobiety (o które nasze panie mogą być niezazdrosne), ubierają się podobnie, noszą tylko na szlafroku krótki kaftanik i wielką, czerwoną szarfę przez ramię. Kapelusz aksamitny zupełnie w rodzaju naszych garibaldek; na szyi mnóstwo korali, bursztynów, świecideł, świętych medali; włosy zaś zaplatają bardzo sztucznie, na drewienkach, w dwa wystające z boków na 6 cali warkocze. Mycie uważają za zbytek.—Burjaci mieszkają w namiotach wojłokowych, przenośnych, za przysmak zaś uważają kawał zdechłéj koniny lub wołowiny, wysuszony na słońcu i zgotowany ze śmietaną. Żyją głównie herbatą pewnego rodzaju, zbijaną w cegiełki, którą piją z mlekiem, lub jedzą na gęsto ze śmietaną. Trudnią się głównie pasterstwem lecz i rolnictwem zajmują się i to nawet dobrze, pola bowiem swoje irrygują. Są bardzo pojętni i cywilizację przyjmują z łatwością, (w szkole czytyńskiéj jest kilkudziesięciu chłopców), po swojemu; większość umie czytać i pisać. Pismo mają dwojakie: mongolskie czyli kościelne, kwadratowe, grube, pisze się wzdłuż, i zwyczajne, okrągłe w arabeski, pisze się prostopadle.

Okolica jest rozmaita: od Bajkału do miasta Udińska, kraj bardzo malowniczy, górzysty; daléj do Czity step burjacki, otoczony zdala górami, przed Czitą grzbiet Jabłonny niezbyt wysoki; za Czitą znowu krajobraz prześliczny, szczególniéj nad Ingodą płynącą i podmywającą często nagie, strome skały piaskowca, lub szpatu. Daléj, okrąg Nerczyński, ma być pod względem miejsca i klimatu bardzo dobry, lecz tam nie bywałem.

Klimat, acz surowy, znosi się bardzo dobrze; zima jest długa: rzeki stają w Październiku, puszczają w Maju; śniegu nie bywa prawie wcale; mróz dochodzi do 40° R. lecz rzadko, i z powodu nadzwyczajnéj suchości powietrza i ciszy, nie jest dokuczliwy. Sama miejscowość około Czity, ma tylko wyjątkową niedogodność, t. j. przy porównaniu jesienném i wiosennėm straszne wiatry, unoszące huragany drobnego piasku, zasypującego wszystko jak w Saharze. Lato jest bardzo gorące, ciepło dochodzi do 32° R. i wyżéj, lecz od końca Czerwca do połowy Sierpnia trwają zwykle ciągłe prawie deszcze. Na wiosnę zaś posucha jest niszcząca, co robi rolnictwo nader trudném i ryzykownėm. Sieją tu wszystko na wiosnę i polewając mają plon dobry, który zbierają w końcu Sierpnia; lecz często wśród lata zjawia się od bieguna śnieg i mróz, który wszystko pochłania. Ogrodowizny wszelkiego rodzaju, przy staraniu, udają się dobrze i są bardzo smaczne i słodkie i wszelkich rozmiarów. Pszenica, żyto, gryka, owies, jęczmień dobre. Owoców nie hodują. Fauna i Flora bardzo bogate: zwierzyny jak zajęcy, sarn, cietrzewi, gęsi, kaczek, jarząbków, kuropatw, mnóstwo; ryb doskonałe gatunki. Na futra: piękna popielata wiewiórka, tarabagan, rodzaj bobaka, i sarna bardzo ciepła. Niedzwiedź bury łowi się w górach; (na Amurze piękny rodzaj tygrysa z puszystym karkiem, jasno żółty w czarne pasy). Kwiatów dzikich nieprzebrane mnóstwo: goździki i lilje nie ustępują oranżeryjnym. Z drzew: sosna, brzoza, topola, modrzew bardzo obfity, cedr dający orzechy, przysmak miejscowy, czeremcha i różne gatunki jagód a nawet dzika brzoskwinia, która nie dojrzewa.

W stanie dzikim wiele pożytecznych roślin, jak cebula, czosnek, pory, rebarbarum którego dolna łodyga, stanowi wyborną, kwaśną potrawę i nie działa tak jak korzeń!...

Mamy lato (1866) bardzo mokre; od kilku tygodni deszcz prawie nie ustaje i rzeki robią zniszczenie ogromne, co każe się spodziewać drożyzny, wzrastającéj tu z każdym rokiem; kiedyś za 15 kop., a podobno i za połowę, można było kupić pud (40 funtów) mąki razowéj, dziś kosztuje od rs. 1 kop. 50, do rs. 2; mięsa funt od 3 do 7 kop.; masła funt od 15 do 20 kop.; mąki pszennéj razowéj od 5 do 6 kop. funt; mąka pszenna 1go gatunku 12½ kop. funt; soli 2¼ funt. *Kapelusz damski słomkowy z kwiatami, coś koło 15 rs.*; arszyn płócienka (1¾ łokcia) od 30 do 50 kop.; za to jarząbek 3 do 5 kop.; chodźcie tu smakosze! cukru funt 45 do 50 kop.; świece łojowe 4½ do 6 rs. pud; mydło 3 do 4 rs. pud. Cena rąk jest tu ogromna, złote bowiem kopalnie rozsiane po kraju wymagając sił, odbierają je rolnictwu, podnoszą ceny przez zwiększoną konsumcję, a produkcja rolna upada, co jest powodem wielkiéj nienormalności tutejszego handlu, przemysłu i zawadza rozwojowi kraju.

ADWOKAT SZNOBELES.

powieść Juljusza Gundling, streszczona z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Mąż i żona.

Domek za Henrykowską bramą był skromnego pozoru, z zewnątrz nikt się domyśléć nie mógł jego wewnętrznéj elegancji. Jeszcze wschody nie przedstawiały nic osobliwego, lecz gdy się stanęło na pierwszem piętrze i weszło do głównego pokoju, dopiero oko ogarniało cały powab jego urządzenia. Swieże kwiaty i kosztowne kadzidła swą woń rozszerzały, przez okna zasłonione zielenią krzewów, słabe tylko przedzierało się światło, padając na wzorzyste i miękkie dywany rozesłane na posadzce. Ażeby stawić niejako zaporę temu sztucznemu zmrokowi, ściany były pokryte obiciami białemi ze złotem; od tego jasnego tła, odbijały powabnie miękkie kanapki z pąsowego aksamitu. Kosztowny stół mozajkowy, przepyszny żyrandol i kandelabry, oraz fortepian, dopełniały umeblowania. Wśród tego wszystkiego stała kobieta majestatycznego wzrostu; kibić jéj smukłą rysowała suknia z czarnego atłasu, zostawując odkryte ramiona alabastrowéj białości; po nad temi krucze włosy w obfitych zwieszały się warkoczach. Ta piękna kobieta zdawała się jednak niespokojną i smutną, zbliżyła się do okna, śledząc przechodniów na drodze od miasta. Długo tak stała, opierając czoło o chłodne szyby i rozsuwając niecierpliwie róże, które stały w oknie, jakby jéj zawadzały. Nareszcie odeszła i usiadła na kanapie, wzdychając ciężko. Jakież uczucia napełniały jéj serce?... Miał przyjść ten, o którym nawet nie wiedziała jak teraz wygląda. Słyszała tylko, że zubożał. Niegdyś oddawała mu pieszczoty za pieszczoty, a potem ze zdradą w sercu odeszła od niego, aby więcéj nie wrócić. Jakiż żal rozrywał teraz jéj duszę, gdy sobie ten dzień przypomniała, i przechodziła myślą wszystkie cierpienia i męczarnie jakich on doznać musiał. Oddech jéj stawał się coraz cięższym, namiętne łkania piersi rozdzierały; zakryła twarz rękoma, a gorące łzy spłynęły po jéj policzkach. Na raz zerwała się jakimś domysłem wiedziona, poskoczyła ku oknu i wydała okrzyk, zobaczywszy idącego ku domowi.

Szedł tedy on— Absalon Schneeball— jéj mąż, a jakże wyglądał! Zgarbiony, osiwiały, z pomarszczoną twarzą, z wyrazem goryczy na ustach; ubiór jego zdradzał ubóstwo. Kobietę ogarnęła rozpacz, załamała ręce i zawołała stłumionym głosem: o! Saro, Saro, cóżeś z twego męża zrobiła?... Odsunęła się od okna, z obawy aby on zobaczywszy ją, nie zawrócił do miasta i słuchała odgłosu jego kroków na wschodach; oddech w piersiach jéj zamierał, musiała całéj mocy umysłu przywołać, ażeby opanować wzruszenie. Nareszcie schwycono za klamkę, zamek skrzypnął, a w otwartych drzwiach pokazał się blady, podstarzały Absalon Schneeball. Widziała go, a nie miała siły postąpić, chciała wyciągnąć ku niemu ramiona, ale te jakby ołowiane podnieść się nie chciały. On zaś obejrzał się w około siebie z naiwną ciekawością. Jego w dół patrzące oczy naprzód spostrzegły dywany, potem złociste obicia, krzewy kwieciem pokryte, nareszcie tę postać tak piękną, jak ją niedawno we snach marzył jeszcze. Zdał się jakby olśniony. Patrzył ciągle, a wizja go nie odstępowała, kierując ku niemu spojrzenie, które go przyciągało magnetyczną siłą. Saro! zawołał zaledwie dosłyszanym głosem, a dreszcz przebiegł po całem jego ciele.

— Absalonie, odpowiedziała Sara, jakby jéj to ciche odezwanie się męża na raz usta rozwiązało. On to usłyszawszy zdał się jakby przelękniony. Więc to nie było widzenie, sen żaden... zawołała na niego, przemówiła. Ach! gdyby to była rzeczywiście ona, ta, którą z taką kochał siłą, Sara—jego żona! Wszystkie pojęcia pomieszały się biednemu człowiekowi, cała dusza, zda się, przeszła do oczu, któremi się w Sarę wpatrywał. Ach! on tak długo był samotnym, a ona, ona zawsze pozostawała tak piękną, jak niegdyś, kiedy po raz pierwszy pocałował jéj białe czoło. Gdzie tam! stokroć była piękniejszą, bo wtedy była zawsze przy nim, dziś nie była już jego, nie wiedział nawet czy kiedy powrócić zechce, a więc cała przepaść, która ich rozdzielała, zrobiła ją jeszcze ponętniejszą.

— Nie chceszże się zbliżyć do mnie, zawoła Sara wzruszonym głosem.

Na ten dźwięk Schneeball się ocknął, zdawało mu się, że oszaleje, i zrobił poruszenie, jak gdyby chciał uciekać. Już obrócił się ku drzwiom, kiedy znów w jego uszach zabrzmiał głos, zatrzymujący go pomimowolnie.

— Absalonie, czy nie chcesz się do mnie zbliżyć? mówiły usta, które tyle razy okrywały go pieszczotą. Twoja żona cię o to prosi, żebyś jéj nie opuszczał, dopóki jéj czegoś nie powiesz i sam jéj nie posłuchasz.

Teraz już nie było wątpliwości. Sara stała przed nim, Sara go tu wezwała, mówiła do niego, prosiła żeby został. Lękał się tylko, żeby następna chwila nie rozproszyła tego cudownego zjawiska i stanął w przerażeniu głos wstrzymując.

Tymczasem Sara opanowała swe wzruszenie, postąpiła kilka kroków ku niemu, wzięła go za rękę, a on dał się prowadzić jak posłuszne dziecko i poszedł za nią z promieniejącą twarzą, z której na raz wszystkie zmarszczki zdawały się znikać. Dał się zaprowadzić do okna i słuchał gdy mu rzekła:

— Spojrzyj na mnie Absalonie i posłuchaj mnie. Zwabiłam cię do siebie, gdyż nie śmiałam ci powiedzieć otwarcie: twoja żona wzywa cię. Użyłam więc podstępu, żeby się sama przed tobą oskarżyć. Słuchaj mnie, chcę znowu być twoją żoną, chce cię na kolanach błagać, ażebyś mnie wziął na powrót do domu i żoną nazwał, ale do tego domu nie chcę się wśliznąć za pomocą kłamstwa; musisz dobrze poznać całe moje postępowanie, a dopiero wydasz wyrok. Zatrzymała się, widząc, że on zasłuchany w melodji jéj głosu, nie zważał na jéj słowa. Rzeczywiście Schneeball jakby budząc się ze snu miłego, zapytał z cicha: czyś ty co mówiła Saro?

Było tyle tkliwości w głosie jego, że wzruszenie zwyciężyło Sarę. Potoki łez z jéj oczu wypłynęły, i klękając przed mężem, zawołała błagającym głosem: Czy potrafisz mi przebaczyć? On spojrzał na nią jakby jéj nie pojmował.

— Zrozumiejże mnie! rzekła gwałtownie. Ja nie chcę wyżebrać sobie powrotu do twego domu, nie chcę cię zmusić, żebyś mnie znów żoną nazwał, lecz jeżeli cię proszę o przebaczenie, to tylko w tém co się tycze przeszłości, a nie żeby ona na przyszłość wpływać miała.

Wiem, że wszystkiego przebaczyć mi nie możesz.— Wiem, że moje postępowanie na litość nie zasłużyło, chcę cię tylko przebłagać za to, żem ci życie zmarnowała, żem cię przywiodła do ubóstwa, do przedwczesnéj starości, do tylu zgryzot i kłopotów. Przebacz mi, bo w każdym twoim przedwcześnie pobielałym włosie, widzę oskarżyciela, innego nie potrzebujesz, ja sama potępiam się najmocniéj.

Spojrzał na nią i po twarzy przebiegł mu wyraz współczucia. Prawie nieświadomie wzniósł ręce i położył je na jéj kruczych włosach, a ona lżéj odetchnęła pod tą niemą oznaką współczucia.

— Dziękuję ci, za to obejście, łagodność twoja jest wprawdzie sztyletem, który mi wbijasz w serce, ale jest mi zarazem i pokrzepieniem. Dodaje mi odwagi, żeby ci wszystko wypowiedzieć. Byłabym to wprawdzie zrobiła choćbyś mnie miał i nogami deptać, ale czyniłabym to z przerażeniem. Słuchaj! jestem najnikczemniejszą kobietą w świecie, opuściłam mężczyznę który mnie kochał i pobiegłam ku drugiemu, którego zdawało mi się, że kocham.

Rozdzierający okrzyk boleści wyrwał się z piersi Schneeballa; usunął ręce z głowy Sary i zakrywszy niemi oczy wołał: biada, biada! czegoś mi to powiedziała Saro? czym ci się pytał, dla czegoś mnie opuściła? Poszłaś bo ci się tak podobało, boś mnie znienawidziła; nigdybym ci się nie był pytał o więcéj, tak jak dotąd nie pytałem nikogo. O! czegoś nie milczała Saro, czegoś nie skłamała, kiedy ci się już chciało mówić koniecznie.

— Nie mogłam milczéć, nie chciałam kłamać, odpowiedziała ze stałością. Powinieneś znać przewinienie moje w całéj jego rozciągłości. I tu zaczęła opowiadać wszystkie szczegóły swego romansowego obłędu, przemilczając tylko nazwisko mężczyzny, domyślała się bowiem żeby mu tem nową ranę zadała.— Sądziłam, że cię nienawidzę, ciągnęła daléj, tak mnie wzburzyła namiętność. Opuściłam cię, wróciłam do ojca. Za pieniądze których mi nigdy z łaski jego nie brakowało, najęłam dom, ten dom Schneeballu.

— Ach! gdzież ja jestem? zawołał tenże, oglądając się, jakby go znów brała ochota uciekać.

— Pozostań, mówiła Sara, musisz mnie wysłuchać do końca. Tak, w tym pokoju przyjmowałam go, a ile razy w te progi wstępował, moje serce biło radośniéj, ile razy nie przyszedł ciężka boleść tłoczyła je. Na tém miejscu gdzie ty siedzisz on siedział, patrząc na mnie pełnemi miłości oczyma; o te ściany odbijały się dźwięki jego tkliwych wyrazów, każdy kącik go tu przypomina. Nie odwracaj się Schneeballu. Wszystko musisz wysłuchać, wszystko musisz wiedzieć, aby pojąć jak nikczemnie byłeś oszukany, jak straszna wina ciąży na mnie. To wszystko muszę ci wypowiedzieć, ażeby ci śmiéć w oczy spojrzéć, choćby nawet jako odepchnięta. Nienawidź mnie i pogardzaj mną, na nic więcéj nie zasłużyłam, ale nie chcę żebyś mógł powiedzieć, żem się kłamstwem i pochlebstwem w progi twoje wśliznęła. Przedstawiłam ci się, taką jaką jestem, źle mówię! taką jaką byłam, ja sama bowiem nie wiem jaką jestem obecnie, czuję się tylko najnieszczęśliwszą z kobiet. Teraz kiedy mnie znasz, rozstrzygaj!

(Dokończenie nastąpi).



Wzór uczesania głowy.

Podajemy sposób łatwy modnego uczesania we dwa pukle, dla osób mających długie włosy i nie potrzebujących używać fałszywych koków. Żeby się włosy dobrze ułożyły, należy pod każdy pukiel włożyć mały podkład, jak to dawniej czyniono nad twarzą. Końce włosów zakręcone lub splecione, prowadzą się na wierzch i zapinają grzebieniem. Należy uważać, żeby pukiel górny stanowił linję poziomą z wierzchołkiem głowy.

O UBIORACH.

Skutkiem rozpoczętego postu, tarlatany i krepy spoczęły na chwilę w pudełkach magazynów, choć twierdzą, że na Ś-ty Józef kilka się balów gotuje, tak to teraz rozszalała się Warszawa! Nie tu jednak miejsce spostrzeżeń i uwag nad tym humorem, prowadzimy więc dalej nasze sprawozdanie.

Właściciele magazynów, pozapisywali już towary świeże i pomału przygotowują się ubrania na wiosnę. Suknie z materjałów wełnianych wybornie się nadają do dzisiejszego kroju. Za rs. 30 można mieć taką suknię elegancką z paletotem bez rękawów (paletot bez rękawów razi tylko wtedy, kiedy jest odmiennego koloru, w przeciwnym razie dobry jest, szczególniej na gorąco). Zęby z tyłu spódnicy kończaste lub okrągłe dają się jeszcze, ma się rozumieć, że taka suknia jest powłóczysta a na ulicę się podpina. Widzieliśmy suknię koloru dzikiego, która miała ciemniejszą aksamitką naszycie w zęby, idące od góry stanika aż ku dołowi, tworząc niby otwarty paletot. Naszycie te szło dwoma linjami, w pośrodku których, dane

były w pewnych odstępach guziki aksamitne, tegoż samego koloru. Na wolnym zaś od naszycia przodzie, zakreślony był u dołu, dwoma rzędami koronki, fartuszek. Zdaje się że materje w pasy, nie będą miały tego roku powodzenia, natomiast mienione, mieszanych kolorów pod nazwą *chiné* będą bardzo liczne. Kapelusze na lato z pewnością się nie powiększą. Uczesanie głowy złożone z olbrzymich koków i warkoczy, wstępujących coraz wyżéj ku wierzchołkowi głowy, czyni niepodobnem istnienie główki, będą to więc tylko, rondka maleńkie lub pęki kwiatów w rodzaju tych, jakie się już w zeszłym roku gdzie niegdzie pojawiały. Posłużą tu kwiaty posprowadzane na balowe ubrania. Oglądaliśmy prześliczne takie płaskie bukiety konwalji, róż, lub bratków u p. Aurelji. Wiele ich jest mieszanych z bursztynem, który teraz bardzo w modzie i walczy z dżetem o pierwszeństwo. W tymże magazynie wyrabiają wcale ładne kapelusiki jedwabne po rs 7. Ubiorki na głowę muszą koniecznie odpowiadać kapeluszom, są więc bardzo małe. Każda kobieta może nawet sobie sama ułożyć jaką ozdobę stosownie do twarzy. Naszyć np. na kwadraciku sztywnym, upiętym tak, żeby jeden róg nad czołem się umieścił, kilkanaście drobnych kwiatków, pomieszanych z wązką barbką koronkową, białą, któréj dwa końce krótszy i dłuższy, zwieszają się z jednego boku ku tyłowi; z drugiéj, na przeciwnym rogu kwadrata, daje się płaska kokardka z aksamitki czarnéj, także z dwoma spadającemi końcami. Pan Reichel mający swój magazyn w teatralnym gmachu, przygotował wielki zapas czepeczków negliżowych i strojniejszych w cenie od 2 do 5 rubli, które ze względu ich wdzięcznego przystrojenia, śmiało możemy polecić naszym czytelniczkom. Są tam także oryginalne krawatki w cenie rs. 1 kop. 20, złożone z wązkiej wstążeczki przechodzącéj pod kołnierzykiem i spojonej u szyi broszką, od któréj wychodzą na długich końcach zwieszone kutasiki, mieszane z jedwabiu, złota lub srebra. Jest to nowy rodzaj przystrojenia szyi. Są tam także prześliczne paski ozdobione kwiatami wypukłemi różnych barw na tle czarnem, ale te są drogie bo do 4 rs. dochodzą w cenie.

Winniśmy dodać kilka słów o sukniach dziecinnych, że one lubo ścinane od góry, nie robią się jednak bez fałdów, bo to dla figury dziecięcej nie jest stosownem. Przytoczymy tu ładną sukienkę popielatą przeznaczoną dla 8 letniéj dziewczynki. Z popielatego materjału, ścinana na brytach, miała na każdym brycie fałd płaski złożony z dwóch do siebie się zchodzących w taki sposób, że szew na sam ich wierzch wychodził, lecz szew ten pokryty był plisą amarantową, przez któréj środek szła wązka taśma czarna, zakończona u dołu spódnicy kutasikiem.

PRZEPISY OGRODNICZE.

W miesiącu marcu i kwietniu ogrodnik ma wiele do czynienia; wiatry osuszające, których z jednéj strony wpływ jest błogi dla przesiąkłego wilgocią gruntu, mogą szkodzić delikatnym roślinom i młodym drzewom, trzeba więc myślić o ich zachowaniu. Wkrótce też ma się rozpocząć przesadzanie do gruntu roślin dwuletnich, wyjmują się z piwnic georginje, zakreślają się linje trawnikom i wśród nich rysują się nowe kląby, dla zasiania ich kwiatami. Można im nadawać kszałt liścia bluszczu, dębu lub jaworu; dobrze także wyglądają różne kształty krzyżów zasiane kwiatami jednego koloru z brzegiem kwiatów białych. Krzyż maltański np. może się

też układać tak, żeby każde jego ramię miało kwiaty odmiennego koloru, dobrze także w takim układzie wyglądają werweny różnych odcieni. Dla odmiany, można urządzać w pewnych punktach rozległych trawników kosze z kwiatami, okrągłe lub podługowate. Miejsce na nie przeznaczone oznacza się lekkiemi sztachetkami wyginanemi z sitowia, na pół łokcia wysokości najwyżéj; zewnątrz sadza się gęsto bluszcz drobnolistny, uważając, żeby skoro jeden wyschnie, umieścić zaraz drugi; po roku utworzy się z tego śliczny, gęsty płotek zielony, który z wewnątrz krótko obcinać należy. boby cały kosz napełnił, w środek tego wieńca nasypuje się więcéj ziemi, nadając jéj kształt piramidy, a siejąc na niéj uważać należy, aby na samym środku były rośliny najwyższe.

W kwietniu też jest czas przesadzania aurykli i anemonów, które się mocno podlewają, na noc zaś przykrywać je należy matami na podpórkach, strzegąc je od częstych jeszcze w téj porze przymrozków; zarówno strzedz ich należy przy początku wzrostu, od zbyt ciepłych promieni słonecznych.

Na wiosnę też dokonać się powinno oczyszczenie sadzawek i wszelkiego rodzaju wód, które tak wielką ozdobę ogrodów stanowią.

Zasady ogólne pielęgnowania kwiatów w pomieszkaniach.

1. Nie należy nigdy umieszczać kwiatów w pokojach obróconych na północ, a do tego jeszcze wilgotnych, lecz tylko w takich, do których słońce mając łatwy przystęp, dozwala jak najdłuższego wystawiania rzeczonych kwiatów na działanie ciepłych, ożywczych promieni słonecznych. W braku pokoju leżącego na południe, jaki jest pod każdym względem najodpowiedniejszym, poprzestać potrzeba na umieszczeniu roślin w takich pokojach, w których słońce rankami przynajmniéj może rzucać swoje światło na kwiaty; temperatura zaś powietrza, niższą być nie może nad 5—7 do 10 stopni ciepła, według termometru Reaumura.

2. Najdelikatniejsze rośliny, z wszelką łatwością dadzą się pielęgnować w pokojach, przy utrzymywaniu tylko należytéj temperatury, to jest odpowiedniego stopnia ciepła, oraz potrzebnego przystępu światła słonecznego. Wystrzegać się jednak należy, umieszczenia takowych roślin nazbyt blisko podwójnych okien, oraz ochraniać je od kurzu, osiadającego na roślinach, który przez zasklepienie porów tamując funkcje żywotne roślin, pociąga za sobą obumarłość zupełną onych. Zwykle wtedy pokazują się na liściach i młodych wypustkach różne owady, szczególniéj na drzewach pomarańczowych, drobne białe robactwo, które stan chorobliwy bardziéj jeszcze zwiększa. Wprawdzie trudno to jest uchronić się od kurzu, powstającego przy sprzątaniu w pokojach; dla ochrony zatem roślin, należy takowe w czasie sprzątania przykrywać zasłoną, albo też przenosić do innych pokojów. Jeśli zaś czynności te wydawać się będą nazbyt utrudzającemi, można oczyszczać rośliny miękką, delikatną szczoteczką, lub też od czasu do czasu, jak kurz nazbyt się nagromadzi na roślinach, obmywać takowe zawsze w rannéj porze, aby po wystawieniu na działanie promieni słonecznych, na powrót wprędce obeschnąć mogły.

3. Rośliny ustawiać należy nie na samych oknach, lecz o ile można jak najbliżéj takowych, aby żaden promień słońca, tak skąpo przyświecającego w porze zimowéj, nie był dla nich straconym. Baczyć wszakże starannie potrzeba, aby rośliny nie zostały uszkodzone przez zimno, i z tego

względu, podczas mocnych mrozów, należy takowe odsuwać od okien, albo co lepiéj, poumieszczać przed oknami małe stoliczki, na których ustawiać można wazoniki i doniczki z kwiatami.

4. Z największą starannością należy oczyszczać rośliny szczególniéj w zimie, od wszelkiéj pleśni i zgniłych liści, skoro tylko takowe pokazywać się będą.

5. Aby ściekająca zbyteczna woda, nie zalewała pokojów, należy ustawić doniczki na podstawkach. W braku nóżek u wazoników, poukładać na spodkach kamyczki i dopiero na takowych ustawiać doniczki z kwiatami, celem zapobieżenia nagromadzeniu się wody na dnie wazonu, oraz dla ułatwienia odcieku takowéj. Zbytek bowiem wilgoci, jest w tem niebezpieczny że pociąga za sobą gnicie korzeni.

6. Z powyższego wypływa, że zbyt obfite podlewanie jest nader szkodliwem dla roślin, osobliwie w porze zimowéj, sprowadzając po największéj części zupełną obumarłość onych. Z tego więc względu, dopóki ziemia dobrze nie podeschnie, nie należy nigdy podlewać roślin. Pilnie baczyć zawsze, aby zbyteczna wilgoć, przez otwór, jakim każda doniczka w dnie opatrzoną być powinna, odciekać mogła; suchość powierzchownéj warstwy ziemi w wazoniku, nie może bynajmniéj służyć za wskazówkę potrzeby podlewania, zwykle bowiem w głębszéj warstwie, ziemia ta jest jeszcze wilgotna i tem samem znacznie chłodniejsza od zwierzchniéj. Błędnem jest mniemanie, iż w skutek częstego podlewania, zyskuje się na bujniejszym wzroście i prędszym rozwoju roślin; lecz kto chce utrzymać w zdrowym stanie swoją kwiaciarnię, niech nigdy nie przystępuje do podlewania, dopóki należycie nie zbada ziemi w całéj głębokości wazonika, i nie przekona się o istotnéj takowego potrzebie. Wszystkie soczyste rośliny, jak np: wszystkie gatunki aloesu, mesenbryanthemum, cactus, stapelia, cacalia i t. d. przez całą zimę potrzebują bardzo małego podlewania, lub też zupełnie bez takowego obejść się mogą. Ze wszystkiemi również delikatnemi roślinami, które opatrzone są nadzwyczaj cienkiemi, albo też w powierzchownéj warstwie ziemi rozłożonemi korzonkami, potrzeba być bardzo ostrożnym przy podlewaniu, korzonki bowiem takowe, nader łatwo podlegają gniciu od zbytku wilgoci. Niektóre rośliny, mianowicie zaś: georiosa superba, arum bicolor, esculentum, sagittafolium, cyrilla pulchella, martienia perennis, wszystkie gatunki imbieru i t. d. przez całą zimę nie potrzebują zupełnie podlewania.

7. Wszystkie rośliny cebulkowe, tak w porze kwitnięcia, jako też i wzrostu, nie znoszą zbytniego podlewania, ztąd więc dżdżysty i wilgotny stan powietrza, jest nader dla nich szkodliwym, jeśli rosną w gruncie pod odkrytem niebem. Tak samo dzieje się ze wszystkiemi soczystemi roślinami, w których, skutkiem zbytecznéj wilgoci wywiązuje się choroba zwana wodnicą, czyli puchliną bąblastą, przechodzącą następnie w zgniliznę, dotykającą najprzód korzenia; poczem śmierć rośliny jest nieuchronną.

8. Swieżo przesadzonych doniczkowych roślin, nie należy również często i obficie podlewać, dopóki młode korzonki nie zapuszczą i nie rozgałęzią się w ziemi należycie. Pielęgnując bowiem rośliny w doniczkach, niemożna zapatrywać się na sposób utrzymywania takowych roślin na grzędach ogrodowych, zwykle polewanych tak obficie, aż ziemia stanie się grzęzką, wtedy bowiem dopiero należycie oblegnie korzenie. *(D. n.)*



KÓŁKO DOMOWE

Kwiecień 1867 r.